



Ten, który czuwa u wrot wszechświata

Krzysztof W. Malinowski

...Gdy pomyślałem, że miałbym mówić w pustkę, w tę cholerną nicość, która ze wszystkich stron nas opadła, zwątpiłem w sens tego wszystkiego. Fakt, niewielki mam wybór: mówić do tej zbieraniny, gnieźdzącej się na stosach swoich plastikowych odpadków i duszącej się wzyewami swoich superwehikulów – to także mówić w pustkę. Ale obowiązki są od tego, żeby je wypełniać, jak mawiał ostatni z prawdziwych stoików, Robert Hookes.

Dlatego wybrałem ciebie, Bob. Będę miał tę mowę do ciebie, bo przecież musi tam być jeden rozumny człowiek, który to pojmie. Niczego na Ziemi nie zostawiłem; takim jak ja nie wolno nikogo opuszczać, bo za bardzo chcieliby wracać. Dopiero teraz zrozumiałem, jakie to ważne. Ale ktoś musi mnie słuchać...

Zakładam, Bob, że wiesz, jak to smakuje. Że latałeś – bo chyba Ziemianie jeszcze latają? – i wiesz, co to przeraźliwa czerń, zupełna pustka, cisza zamarłych silników.

Tyle, że nie możesz wiedzieć, jak to wygląda tu, dwieście dwanaście lat świetlnych od Ziemi, gdzie dopadła nas litościwa śmierć. Nasłuchowcy pokażą ci dokładnie, gdzie to jest. A ja ci opowiem, jak było.

Pomyśl tylko: sześć godzin – to jedno okrążenie.

Po spirali.

Dzwoniące milczenie odbiorników.

Gładka zieleń tachoskopów.

A czasem jęk grawidła, zanim dostrzeże je robot i roznieście w pył miotaczem.

I te korytarze o sufitach, ścianach i podłogach – wypalonych, poszarpanych wystrzałami z miotaczy.

To się już ponoć kiedyś zdarzyło, czy tak, Bob? Tak w każdym razie mówił Alex. Powiedział, że jakieś dwieście lat temu któraś z ziemskich wypraw już tak uwięzła. To była rzekomo wina kapitana. Jasne. Czyjaś musiała być. Na ogół zwała się ją na kapitana. Dlatego się właśnie tłumaczę. Mimo wszystko. Mimo, że nie żyję. Wierzę, Bob, wierzę,

że będziesz umiał im to wytłumaczyć lepiej niż ja...

Szliśmy we dwa statki – „Searcher” i „Virginia” Olafa Gulfa. To był świetny fachowiec – Olaf, tyle, że może nerwus. Ale znał się na swojej robocie. Kiedyśmy tamtych dojrżeli – pędzących, popychających przed sobą tę ścianę czerni, czerni nieprawdopodobnej, nie widziałeś jeszcze takiej, Bob – „Virginia” była kilkanaście lat świetlnych w przdzie. Olaf zameldował przez radio, że pójdzie po diagonalę, żeby złapać kontakt. Wszystko wedle procedury; nie mógł przecież przypuszczać, że stanie się coś podobnego.

Więc obserwowaliśmy ich na ekranach – „Virginię” i tamtych. To był niesamowity widok. Nie wiem, jak ich opisać – tę czerń jakby przejrzystą, i w środku coś kulistego, czerwonego w jądrze, lecz ciemniejszego aż do głębokiego fioletu na zewnątrz. Wiem, że niezgrabnie to opisuję, ale tego po prostu nie sposób opisać.

* * *

I wtedy jeszcze zanim Gulf przesłał im pierwszy ciąg sygnałów, to ściana czerni pochłonęła „Virginię”. Po prostu – jakby na statek niespodziewanie ktoś naciągnął żalobny całun.

To było niewiarygodne, a jednak stało się. Stało się w naszych oczach. Żadnego błysku, wybuchu, nic – po prostu „Virginia” obróciła się w czerń. A tamci szli niewzruszenie dalej, rozjarzeni, nietykalni, bo szli szybciej niż światło.

Wiem, Bob, pewnie teraz kiwasz z politowaniem głową, ale przekonasz się, że nie oszalałem. Oni naprawdę szli szybciej niż światło. Odchodziłem prawie od zmysłów, ale potwierdzały to prawie wszystkie przyrządy. Co miałem robić? Pościg był bezsensowny, a jednak musiałem go podjąć; przecież to jasne – ci trzej dranie stali tuż obok, utkwivszy we mnie pełen rozpaczony wzrok. Co miałem im powiedzieć? Oni przecież oczekiwali tylko jednego: ścigać i dopaść tamtych. Zniszczyć ich! Szlag by trafił ich etykę, rozum, lata szkolenia. Gdybym nie zdecydował się na ten beznadziejny rozkaz,

rozszarpałoby mnie tam, a potem sami ruszyliby w ślad za uciekającymi...

Powiedz, Bob, czy miałem jakiś wybór?

* * *

Ruszyliśmy za nimi.

Oczywiście, nie mieliśmy żadnych szans. Ta czerń... Podejrzywałem, że to jakieś pole siłowe albo coś w tym rodzaju. Trzy tygodnie pędziliśmy za tym świetlnym cieniem – bo przecież ich już nie było tam, gdzie widzieliśmy ich obraz! Ta nicość jedynie pozostawiała po sobie świetlny ślad – widomy symbol naszej bezradności. Lecz ani Alex, ani Jan na moment nie odstępowali od ekranów. Jakby ich wzrok rzeczywiście mógł powstrzymać umykającą czerwoną kulę.

* * *

I wtedy nagle nastąpiła przeraźliwa jasność. Jakby w ciemnym pokoju ktoś rozwarł drzwi na rozświetloną słońcem ulicę. To trwało tylko mgnienie – zaraz potem znów nastąpiła ciemność – jak poprzednio, nieprzenikniona, bezgwiezdna. A wraz z nią nadszedł koniec. Statkiem targnęło tylko raz. Rozdzwoniły się sygnalizatory przeciążenia. Rozhuczały się pompy symulatorów deceleracji. Byliśmy w pułapce.

* * *

...to już szóste okrążenie Bob. „Searcher” obiega po spirali tę przeraźliwą pustkę, monotonnie, wokół niewidzialnego środka, jakby uwiązany na nici nawijającej się na niewidzialny palec.

* * *

...Boże, jakże szamotaliśmy się, próbując się stąd wyrwać! To straszliwe pole jest jak lepka maź. Niby poruszasz się w niej, niby ci ustępuje, lecz przecież nie puszcza; a ty suniesz z coraz większą trudnością, z coraz większym wysiłkiem, czując, jak opuszczają cię siły. Wiesz, ile paliwa pożera taka szarpalina? Z rozpaczą obserwowaliśmy sunące w dół wskazówki czujników z rezerwy paliwa. Nie było żadnych szans na uzupełnienie zapasów. Bo gdzie? Na początku przed przeciążeniami ochraniały nas deceleratory, ale to kosztowało zbyt dużo energii. Coraz

częściej zaczęliśmy się chować do kapsuł antygrawitacyjnych. Tylko wtedy nie czuło się tej potwornej siły cisnącej na każdy milimetr kwadratowy ciała, bo cóż można czuć w temperaturze ciekłego helu...

* * *

Alex pierwszy postradał zmysły. Zrozumiałem to już wtedy, gdy wyszedł z kapsuły. Dostał ataku hysterii, z trudem uspokoił się go zastrzykiem gerontomycyny i ułożyliśmy na powrót w kapsule. Próbowaliśmy samobójstwo i nawet dwa roboty nie mogły sobie z nim poradzić. Wtedy też pojawiły się pierwsze grawidła. Nie będę ci tego dokładnie opisywał, chyba nie potrafiłbym. Nie uwierzysz, co potrafi rodzić w umyśle człowieka takie potworne pole. Zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy ujrzałem Jana. Biegł, w ciężkim skafandrze, a przecież nie mieliśmy już wtedy nawet dość paliwa, by zasiląć regeneratory powietrza... No więc biegł przez korytarz zataczając się, z miotaczem otwartym na pełny ogień. Walił, gdzie popadło, po ścianach, po suficie, po drzwiach laboratoriów. W słuchawkach rozlegały się tylko chrapliwe wrzaski: „Pre-ecz! Dość! Doość!” A przed nim, w ciemnym prawie korytarzu unosiło się coś... Czy też może podskakiwało? Widziałem to coś tylko w błyskach miotacza, rzucające się od ściany do ściany, to znów opadające w dół. Zanim Jana dopadłem, nagle się uspokoił – zawrócił, dojrzał mnie i na chwilę przystanął. Przez szybę hełmu widziałem jego zęby wyszczerzone w obłąkanym uśmiechu. „Widzisz, Paul? – powiedział. – Widzisz, co zrobiłeś?”

Czy zdajesz sobie sprawę, Bob, z tego co wtedy czułem?

* * *

Zanim zrozumiałem, co się stało, Jan zdążył sobie podciąć żyły. Na szczęście automat szybko go reanimował – to nie było trudne, zwłaszcza że przy takich natężeniach pola grawitacyjnego serce pracuje o wiele wolniej.

Spodziewałem się tego zresztą. Ale to ja byłem tym, który powinien był ich od tego

powstrzymać. I to było najgorsze. Byłem ich przywódcą, więc musiałem kłamać. Powiedz, Bob, czy zawsze musi się okłamywać ludzi, którymi się kieruje? Czy sztuka rządzenia ludźmi zawsze sprowadza się do dawania im złudnych, nigdy niespełnialnych nadziei? Przecież gdyby nie to byłbym pierwszym, który by sam się uśmiercił. A ja musiałem być tym, który tym ludziom prawa do śmierci odmawiał. Nie potrafiłbym ci nawet powiedzieć, co się ze mną działo, kiedy tak patrzyłem na ich umęczone twarze, gdy leżeli na pozór bez życia, w kapsułach niby w przejrzystych kokonach. A tuż obok, co czas jakiś, z próżni kómory wychylała mara jakaś, istota ni to ludzka, ni zwierzęca, barwna, dotykalna prawie – choć przecież nie z tego świata, naszego. I nim jeszcze dobiegło końca dzieło jej tworzenia, już – zawisła w próżni – dosięgał ją płomień miotacza czujnego robota...

Gardzili mną, wiedziałem o tym. Za to, że zakazywałem im prawa do spokojnej śmierci. Że się bałem. Że byłem bezsilny – ja, kapitan, bezgraniczne źródło zaufania. I najgorsze było to, że i ja sobą gardziłem. Bałem się istotnie. Bałem się po zwierzęcemu, jak oni marzyłem o śmierci, o zamknięciu oczu. Tego się nie da opisać: powiewnych grawideł, tupotu robotów uzbrojonych w miotacze, ludzi – albo rozszalałych w panicznej ucieczce przed zmaterializowanymi zmorami, albo pozornie uśpionych i strzeżonych przez roboty. Tylko maszyny pozostały wierne swej idei – teraz pilnowały, by z mej woli ludzie żyli w obłąkaniu...

Wiesz już teraz, co to czarna dziura?

* * *

A jednak nie wydarzyło się jeszcze to, co najgorsze. Przyznam, iż nie spodziewałem się, by pokładowy komputer mógł dostarczyć nam jakichkolwiek nowych informacji. Zupełnie nieoczekiwanie zasygnalizował zakończenie pierwszej fazy procedury awaryjnej. Znasz ten przepis: w każdym tego rodzaju przypadku dowódca statku ma obowiązek dostarczenia komputerowi wszelkich danych, włącznie z listą presumpcji prognos-

tycznych i heurystycznych. To dla pewności, że niczego się nie pominęło w ocenie sytuacji. Nie liczyliśmy na żadną rozsądną odpowiedź. Bo i o czymże tu można było jeszcze rozważać? Tymczasem nasz „Illiac” nie próżnował. Kiedy automat odczytał wyciąg z wydruku komputera, nie wierzyłem własnym uszom. Puszczę ci to, Bob, bo to chyba jedyny dokument tego, co się stało.

* * *

Czas 90.12. Czas wykonania programu 216 godzin. Czas pokładowy 3211 koma 5 koma 23. Poziom pierwszy: analiza logiczna zespołu danych programu „Saving procedure”:

Nieznanym obiektem o zespole parametrów według listy danych: prędkość nadświatłowa. Napęd: brak danych. Negacja materii w promieniu dwa koma sześć parseka; mechanizm negacji – brak danych.

Czas zero: sytuacja awaryjna statku „Virginia”; negacja statku „Virginia”. Mechanizm destrukcji – brak danych. Stopień destrukcji – brak danych. Kontrola prędkości obiektu „X” – brak danych.

Czas 90.46; poziom pierwszy. Generacja pola 16 G, Czas generacji pola 12 mikrosekund. Analiza kreacji pola: Wynik negatywny. Stan powyżej ciężenia krytycznego. Zagrożenie poniżej awaryjnego. Zapas paliwa: zero. Możliwości korektury trajektorii: wynik negatywny.

Wniosek pośredni: opuszczenie trajektorii spiralnej o parametrach według tabeli wyników niemożliwe w ramach programu „Saving Procedure”. Analiza alternatywna: wynik negatywny.

Czas 90.51. Poziom drugi: Analiza heurystyczna zespołu danych programu „Saving Procedure”. Analiza wykazała efekty działania intencjonalnego w zakresie zespołu danych. Niezidentyfikowany obiekt kierowany przez istoty inteligentne. Prędkość nadświatłowa obiektu dopuszczalna w świetle analizy struktury obiektu. Materia nie odpowiada cechom materii metagalaktycznej. Wniosek pośredni: obiekt zbudowany z antymaterii lub negamaterii. W zespole danych brak

informacji o anihilacyjnym promieniowaniu gamma. Wniosek bezpośredni: obiekt zbudowany z negamaterii.

Analiza fizyczna: Istnienie negamaterii we wszechświecie nie pozostaje w sprzeczności z zespołem teorii fizycznych. Wniosek pośredni: Istnieje możliwość kreacji ujemnych zakrzywień przestrzennych i unicestwienia materii bez ekwiwalentów energetycznych obserwowalnych w naszym wszechświecie. Wniosek bezpośredni: zamknięcie pola kolapsu w czasie 12 mikrosekund jest działaniem intencjonalnym.

Wnioski ogólne w ramach programu „Saving Procedure”:

Opuszczenie pola grawitacyjnego czarnej dziury przy zastosowaniu zespołów napędowych statku – niemożliwe. W przypadku zewnętrznego działania intencjonalnego możliwe rozwarcie pola grawitacyjnego.

Zalecenia w ramach „Saving Procedure”: Ponawiać próby nawiązania kontaktu ze strukturami rozumnymi „X”. Analiza kontaktu: Wynik negatywny. Dalsze zalecenia w miarę uzupełnienia danych.

* * *

...Z negamaterii, Bob. Kiedy to usłyszałem, opanował mnie dziwny spokój. Wiedziałem, już, upewniłem się, że niczemu tu nie miałem możliwości zaradzić. Zdałem sobie sprawę z tego, że to nie było takie nonsensowne, że nie było zupełnie niepotrzebne. Starcie człowieka z niewiadomym dodaje mu zawsze siłę. A ja tych sił potrzebowałem bardziej niż kiedykolwiek. Sprawdziłem wszystko raz jeszcze. To prawda. Teoria względności nie zaprzecza możliwości istnienia negamaterii. Ciała poruszające się z prędkością ponadświatłową muszą mieć ujemne masy. Taka negamateria znikła przy napotkaniu naszej, zwykłej po prostu bez śladu znikła. Tak właśnie zniknęła „Virginia”. Nic dziwnego, że dla nich rozwarcie pola „czarnej dziury” było niczym – wygenerowanie ujemnego zakrzywienia przestrzeni, jeśli tylko dysponuje się odpowiednim źródłem energii, jest wtedy drobnym zabiegiem. Rozumiesz: trochę ujemnej masy, tak by

zniwelowała zakrzywienie dodatnie wokół czarnej dziury – i taki próżniowy bąbel stoi przed tobą otworem. To była właśnie ta oślepiająca jasność. Za nią błyszczał już negaświat.

Wtedy, gdy podążaliśmy za nimi – a raczej za ich świetlnym cieniem – nie zdawaliśmy sobie nawet sprawy z tego, że naprawdę suniemy w tunelu wykrojonym w potężnym polu grawitacyjnym „czarnej dziury”. W tunelu, otwartym tylko na chwilę, na mgnienie oka, podczas którego tamci przechodzili do swego świata. Dla nas już nie starczyło czasu. Może to i gorzej? Tamta śmierć byłaby naglejsza.

* * *

Kiedy to wszystko dotarło do świadomości Alexa i Jana – zwariowali zupełnie. Odpowiedź komputera nie dawała nam już przecież żadnych szans. Czyniła to wszystko tylko bardziej niesamowitym. Byłem już prawie pewien, że mnie zabiją. To było dla nich jedyne wyjście. Tylko wtedy mógł się Jan – bo to na niego przechodziła wtedy moja władza i obowiązki – uwolnić od czujnej opieki robotów.

* * *

W miarę wzrostu ciężenia grawidła wypełniały coraz liczniej ubogą przestrzeń statku. Teraz już wiedziałem, skąd się biorą. Rodziły się bezustannie – te zjawy z naszych snów, wygenerowane w starciach naszej podświadomości ze straszliwym polem grawitacyjnym, niedopełnione, nierealne jak ludzkie sny; czy umiesz to sobie wyobrazić, Bob? Pomyśl: Budzisz się z długiego snu, przepelnionego majakami, zmorami umęczonego umysłu... Budzisz się i widzisz te zmory na jawie – zmaterializowane, stokroć ohydniejsze w swej rzeczywistości i zniekształceniu; twarze nieludzkie prawie, zawisłe nad twoją głową: rozdziawione gęby maskaronów, dziobogłowe, skrzydlate odwłoki, krótkonogie cieliska... Wszystko to, co twoja wyobraźnia jest zdolna stworzyć w chwili intensywniejszego snu, każdy silniejszy poryw elektromagnetycznej emisji mózgu zrodzi w oddziaływaniu z

pojem grawitacyjnym materię. To były struktury kruche, ulotne, dziwnie nieważkie, ale to była jednak – materia. I wszystkie one, dopóki nie dopadły ich roboty, spoglądały ci w oczy, gdy tylko przebudziłeś się w kapsule.

* * *

Wreszcie stało się to, czego tak długo oczekiwałem. Skorupa zakrzywionej przestrzeni rozwarła się ponownie. Znowu na moment rozbłysnęła jasność tamtego świata i wychynęli stamtąd Oni: czerwonokuliści, spieszni – i nietykalni w swej prędkości. Nim zdążyło to dotrzeć do naszej świadomości, zniknęli w otchłani czarnej pustki kosmosu. To był ostateczny dowód.

* * *

A po trzech dniach zgasła gwiazda.

Tak, mówię to zupełnie świadomie. Wiem, że to oni zgasili tę gwiazdę. To była Psi 216 w gwiazdozbiornie Perseusza. Potwierdził to komputer. Po czterech dniach wrócili.

* * *

...dziwne jest to uczucie. Wraz ze słabnącym polem grawitacyjnym mąci się świadomość. To jedyna satysfakcja – ja jeden wierzyłem, że przy spotkaniu z rozumem musimy mieć szansę. Szkoda, że nie rozegraliśmy tego rozsądnie. Dałem się ponieść emocjom. Szastaliśmy paliwem – całe zapasy zużyliśmy w dwa miesiące. Tak, Bob, w dwa miesiące nasz „Searcher” zamienił się w bezwładną kupę krzemu, stali i ceramitu. Nasze głupie, beznadziejne wysiłki wyrwania się z tego potwornego pola pozbawiły nas nawet możliwości manewrowania na orbicie. Liczyliśmy na cud. Może i słusznie? Tyle tylko, że ten cud nas zaskoczył. Gdybyśmy żyli, może byłaby jeszcze jakaś szansa. ...Bo kiedy ustąpiło pole – jak zawsze nieoczekiwanie – i nastąpiła owa przenikliwa jasność, w naszym statku nie drzemała już żadna siła zdolna poruszyć go z miejsca. Tkwił nieruchomy jak kawałek drewna spoczywający na spokojnej tafli jeziora. I wtedy jeszcze raz przybyli Tamci. Skryci za przejrzystą czernią negamaterii, nietykalni, poczęli nas wypychać z pola czarnej dziury. Spełniły się

prognozy naszego komputera: to była negamateria. To on obliczył, że jeśli dwie dodatnie masy się przyciągają, to masa ujemna i dodatnia powinny się odpychać. To prosty rachunek, Bob – aż dziw, że wcześniej na to nie wpadłem. Trzeba tylko uważać, żeby nie wejść w pole negamaterii zbyt szybko; wtedy nawet siła odpychania nie zdoła cię powstrzymać przed zniknięciem. Tak właśnie stało się z „Virginią”.

No więc, Bob, Oni zdają sobie sprawę z tego, co robią. Podeszli do statku wolno, bardzo wolno. Po chwili czujniki pokładowe drgnęły.

„Searcher” powoli zaczął się oddalać od jądra „czarnej dziury”...

Wiedziałem już, że to, co przydarzyło się „Virginii” nie stało się z Ich winy. Nie mogli się spodziewać, że zniszczą statek. Byli zbyt rozumni. Ale każdy rozum może zaskoczyć działanie nierozumne. A tak właśnie zachował się Gulf. Zaszedł im drogę i dlatego „Virginię” pochłonęła nicomość.

* * *

...zgasła gwiazda... Wiele razy potem jeszcze oglądałem Ich, wypływających z tej Ich jasności i ruszających w otchłanie naszego Wszechświata. Spieszyli, by zgasić jakąś gwiazdę i przemienić ją w jeszcze jeden przestrzenny bąbel roztaczający wkoło straszliwe pole grawitacyjne. Musieli tak robić. Każdy kolaps w naszym Wszechświecie oznaczał w Ich negaświecie narodziny nowej gwiazdy – powstanie nowego skupiska negamaterii. Oni musieli dbać o istnienie obu tych światów – bo my nie byliśmy jeszcze do tego zdolni. Tam, gdzie zapalali potężne kwazary, wlewała się do naszego Wszechświata energia, czerpana z Negaświata. Takie były po prostu prawa wzrostu entropii. Choć to nie jest dokładnie tak... Entropia właściwie nie wzrastała – ona przybywała tylko do nas jako negaentropia z tamtego świata. A Oni dbali jedynie o równowagę. Bo każde jej zachwianie groziło końcem jednego z tych światów.

* * *

Ta słabość, Bob. To już koniec. Z każdym kilometrem, z każdą sekundą czuję, jak

słabnie umysł. Przewidziałem, że zwycięży w tych chłopcach woła śmierci. Racja była po ich stronie. Alex powiedział mi kiedyś, że mnie zabije. I tak się stało. Zabili mnie podczas snu, kiedy nikt nie mógł mnie wziąć w obronę. Dziwisz się? Że robot powinien mnie obronić?

Zgoda. Tak naprawdę to ja chciałem, żeby mnie zabili! To było zaplanowane. Tchórz? Może. Pozostaje tylko pytanie: co jest większym tchórzostwem: zabić się samemu czy pozwolić, by zrobił to tchórz jeszcze większy. Tak czy inaczej, czuję się podle. Ale nie potrafiłem oprzeć się tej pokusie. To dla mnie była jedyna szansa ucieczki.

Więc zabili mnie. A potem rozkazali automatowi, żeby uśpił ich na trzy doby – wcześniej zniszczywszy system automatycznej kontroli czasu rewitalizacji.

Ale byłem sprytniejszy. Wiedziałem, że może nadejść chwila jak ta, teraz. Kiedy bylibyśmy ocaleni, gdyby nie to, że nie ma już komu przynosić tego ocalenia. Nie chciałbym sobie odmówić przyjemności przestania na Ziemię pierwszego i ostatniego meldunku ze statku, który uwolnił się z „czarnej dziury”. Choć z nią przegrał. Tego nie zrobiłby żaden automat. A dopóki tkwiliśmy w polu, oczywiście nie mogło być mowy o łączności. „Czarna dziura” pożera nawet fale radiowe. Lecz teraz...

Więc zrobiłem użytek z tego, co wpędziło nas w szaleństwo. Oto mówię do ciebie, Bob, pierwsze grawidło, z jakiego człowiek zrobił użytek. Pozwolisz, że zmienię osobę – jakoś dziwnie byłoby dalej mówić o sobie jako kapitanie Sachsie. Hm... Więc oto ja: czwartą, udaną kreacją sobowtóra z negamaterii.

Próba kreacji negaumysłu przez umysł. Może niezupełnie udana... Ale zawsze świadoma...

Z tym, Bob, że moje istnienie miało sens w polu materii. W bardzo silnym polu... To był ostatni rozkaz kapitana Sachsa... Pamiętam... pamiętam, jak się rodziłem... Jak wpatrywał się w lustro... Rad jestem, Bob, że... ja pierwszy fantom, mogę wam przesłać wieści o tych, co czuwają... u wrót Wszechświata...